

YOU'D  
BE  
HOME  
NOW



KATHLEEN GLASGOW

YOU'D  
BE  
HOME  
NOW

Przełożyła Ewa Bobocińska



Tytuł oryginału: *You'd Be Home Now*

First published by Delacorte Press, an imprint of Random House Children's Books, a division of Penguin Random House LLC, New York.

Text copyright © 2021 by Kathleen Glasgow

Jacket art copyright © 2021 by tk

All rights reserved including the right of reproduction in whole or in part in any form.  
This edition published by arrangement with Random House Children's Books, a division of Penguin Random House LLC.

Redakcja: Marta Stochmiałek

Korekta: Renata Kuk, Izabela Sieranc

Skład i łamanie: Robert Majcher

Adaptacja okładki: Magdalena Zawadzka/Aureusart

Copyright for the Polish edition © 2023 by Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.  
Wyrażamy zgodę na wykorzystanie okładki w Internecie.

ISBN 978-83-8266-206-1

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2023

Adres do korespondencji:

Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

ul. Ludwika Mierosławskiego 11a

01-527 Warszawa

[www.wydawnictwo-jaguar.pl](http://www.wydawnictwo-jaguar.pl)

[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://www.instagram.com/wydawnictwojaguar)

[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://www.facebook.com/wydawnictwojaguar)

[tiktok.com/@wydawnictwojaguar](https://www.tiktok.com/@wydawnictwojaguar)

[twitter.com/WydJaguar](https://twitter.com/WydJaguar)

Druk i oprawa: **opolgraf**   
DRUKARNIA

Wydrukowano na papierze Creamy 70,  
dostarczonym przez **ZING** Sp. z o.o.

*Do wszystkich Emm i Joeyów:  
miłość trwa*



**L**ECIMY W GRANATOWOCZARNĄ NOC, deszcz smaga auto. Drzewa stają się ramionami, stają się palcami, stają się zębami i sięgają po nas. Nie wiem, czy wydajemy jakieś dźwięki, bo w uszach mam tylko bicie serca, tonę. Samochód jest lekki i ciężki równocześnie, spada z łoskotem na ziemię, odbija się od niej i koziółkuje, i koziółkuje, Luther Leonard jest do połowy wewnątrz, a do połowy na zewnątrz, przez stłuczoną przednią szybę, którą mam przed sobą, widzę, jak jego stopy z sneakersach sterczą pod dziwnym kątem.

Wołam imię brata, ale nie słyszę odpowiedzi.

Staram się wymacać zapięcie pasa bezpieczeństwa, ręce mi się trzęsą, nie są w stanie się uspokoić. Coś czuję, ale nie potrafię stwierdzić co. Ale coś z moim ciałem nie jest w porządku. Coś nie działa.

W przekrzywionym wstecznym lusterku widzę mojego brata Joeya, wygląda jak jakiś beużyteczny łach rzucony na tylne siedzenie auta, przygniata Candy MontClair, ma krew we włosach.

Wypowiadam jej imię.

To, co wydobywa się z jej ust, to nie są słowa. To jakieś chrapliwe, wilgotne dźwięki, pełne i cieniutkie jednocześnie.

Muszę wydostać się z tego samochodu. Muszę kogoś zawołać. Muszę sprowadzić pomoc. Muszę opuścić to miejsce z potłuczonego szkła i zgniecionej blachy, i dyndających stóp Luthera Leonarda, ale nie mogę się ruszyć. Nie mogę wyjść.

Przez wybite okno dobiega wycie z lasu nad Wolf Creek. Może to ja tak wyję? Po chwili uświadamiam sobie, że jednak nie. To wycie syren, światła rozjaśniają wnętrze naszego zmiażdżonego samochodu.





# JEDEN

---

Powiedz mi, co zamierzasz zrobić ze swoimi  
jedynym, szalonym, bezcennym życiem?

- MARY OLIVER



# 1

**M**OJA SIOSTRA MADDIE płacze, jej śliczna twarz jest przygnębiona i przerażona. Jedna z moich nóg jest cięższa od drugiej, nie rozumiem dlaczego i chcę o to zapytać, ale nie potrafię sformułować słów, bo mam w sobie ocean, ciepły i słodki, podskakuję na falach jak kiedyś przed laty z Joeyem w San Diego, kiedy wszystko było doskonałe, a przynajmniej tak bliskie ideału, jak to tylko możliwe. To był fajny czas, ja miałam wtedy dwanaście lat, a on trzynaście i unosiliśmy się na falach, podczas gdy Maddie leżała na plaży w fioletowym bikini i kapeluszu z rondem opadającym na twarz. Znajdowaliśmy się z dala od Mill Haven, byliśmy w innym świecie, gdzie nikt nie wiedział, kim jesteśmy.

Próbuję zapytać Maddie, gdzie jest Joey, ale siostra mnie nie rozumie. Wydaje jej się najwyraźniej, że powiedziałam coś innego, bo pochyla się i odpowiada:

– Potrzebujesz więcej? Mam nacisnąć przycisk?

I naciska palcem guzik z boku łóżka. Mnie zaś zalewa największa fala, jaką w życiu widziałam, zupełnie jak podczas zabawy w spadochron na boisku przedszkolnym, wszyscy się śmialiśmy, kiedy materiał opadał na nas łagodnie, odcinając nas od całego świata.

\*\*\*

Głos mojej matki jest roztrzęsiony.

– To nie jest normalne. To nie zdarza się takim ludziom jak my.

W głosie ojca słychać zmęczenie. Zmęczenie, które trwa już od lat. Joey tak działa na ludzi.

– Nic nie jest normalne, Abigail. Nic nigdy nie było normalne. Dlaczego tego nie dostrzegasz? On ma problem.

Moje palce same sięgają do guzika, żeby znowu przywołać fale. Rodzice mnie męczą, od lat klócą się o Joeya.

Ręka matki dotyka mojej głowy. Reaguję jak kociak, wciskam się w nią. Nie pamiętam, kiedy ostatnio mnie dotykała, kiedy głaskała mnie po włosach. Wszystko zawsze obracało się wokół Joeya.

– W jego organizmie była heroina, Abigail. Jak mogliśmy tego nie zauważyć?

Słowa wiszą nade mną w powietrzu, upiorne, przerażające.

Na imprezie Joey miał obrzyganą bluzę. Kiedy znaleźliśmy go w łazience, był jakiś zamroczony i sflaczały, i dziwny, gadał bez sensu, a ja myślałam...

Myślałam, że był po prostu pijany. Kompletnie nawalony.

– Ja to załatwię – mówi matka do ojca. – Pójdzie na odwyk, wyleczy się i wróci do domu.

Słowo „odwyk” wymawia przez zaciśnięte zęby, jakby wymawianie go sprawiało jej ból.

– Nie ma takiej magicznej różdżki, którą mogłabyś machnąć i wszystko odmienić, Abigail. On mógł umrzeć. Emory mogła umrzeć. A tamta dziewczyna naprawdę umarła.

Ocean we mnie, ten ciepły, falujący ocean, zamarza.

– Co powiedziałaś? – pytam szeptem. Mój głos wydaje się jakiś gruby. Czy oni mnie rozumieją? Powtarzam głośniej: – Co przed chwilą powiedziałaś?

– Emory – wdycha ojciec. – Och, Emory.

Oczy matki są jak mokre, błękitne baseny. Wsuwa palce w moje włosy.

– Żyjesz – mówi do mnie. – Jestem taka wdzięczna, że żyjesz.

Fale, na których się unoszę, sprawiają, że jej twarz się zamazuje. Miotam się w nich, staram się zrozumieć.

– Ale ją po prostu bolała głowa – mówię. – Candy tylko rozboleła głowa. Ona nie mogła umrzeć.

Ojciec marszczy czoło.

– Gadasz bez sensu, Emmy.

Bolała ją tylko głowa. Dlatego była w samochodzie. Na imprezie rozboleła ją głowa i chciała pojechać do domu, to przecież nie w porządku, żeby ktoś, kogo zwyczajnie rozboleła głowa i kto wsiadł do samochodu, umarł, podczas gdy wszyscy inni przeżyli. To nie może być prawda.

– Joey. – Płaczę, mam na twarzy łzy, ciepłe i słone. – Chcę Joeya. Proszę, dajcie mi Joeya.

## 2

**K**IEDY OTWIERAM OCZY, on jest przy mnie.

Dotychczas tylko raz widziałam brata płaczącego, tamtego popołudnia, kiedy on i Luther Leonard postanowili zjechać z dachu naszego domu do basenu. Lutherowi się udało; Joeyowi nie i przez wiele dni miałam w uszach jego łkanie, kiedy wił się na patio.

Ale teraz płacze po cichu.

– Tak mi przykro – mówi. Ma ochrypyły głos i wygląda na chorego, jest blady i roztrzęsiony. Nad jego lewym okiem widzę szwy. Prawą rękę trzyma na temblaku.

– Myślałam, że byłeś pijany – wyjaśniam. – Myślałam, że byłeś po prostu pijany.

Ciemne oczy Joeya szukają mojej twarzy.

– Narozrabiąłem. Okropnie narozrabiąłem, Emmy.

Dziewczyny mają fioła na punkcie tych jego ciemnych oczu. Albo miały. Zanim zaczął sprawiać problemy.

„Joey Ward był kiedyś fajny”, powiedziała jakaś dziewczyna w łazience Heywood High w zeszłym roku. Nie wiedziała, że byłam w kabinie. Czasami siedziałam tam dłużej, niż to konieczne, po prostu żeby mieć trochę spokoju. Trudno robić to bez przerwy. Udawać.

„Ale już nie jest”, odpowiedziała inna dziewczyna. „Teraz to tylko kolejny żaloszny ćpun”.

Rozpłakałam się w tej kabinie, bo wiedziałam, że Joey to ktoś więcej. To Joey nauczył mnie jeździć na rowerze, bo nasi rodzice przez cały czas pracowali. Joey pozwalał, żebym godzinami czytała mu na głos w namiocie z prześcieradeł w norze ojca, choć już dawno powinien

mnie zostawić dla kolegów jak większość starszego rodzeństwa. On nauczył mnie robić jajecznicę i pozwalał, bym siedziała w jego pokoju na poddaszu, kiedy rysował.

Choć w końcu mi zabronił. Któregoś dnia zapukałam, a on kazał mi odejść.

Joey wstaje i zdrową ręką wyciera twarz. Piękne, ciemne włosy opadają mu w strąkach na oczy.

– Muszę iść – mówi. – Mama czeka.

Odwyk. Wracają do mnie słowa wypowiedziane przez mamę. Czy to było wczoraj? A może dziś rano? Trudno powiedzieć. Nie wiem, jak długo tu jestem. Wszystko mi się zlewa.

– Joey, dlaczego zrobiłeś... to?

Chciałabym móc wstać z tego łóżka. Chciałabym, żeby moja noga nie wisiała w powietrzu na tym przeklętym wyciągu i żeby moje ciało nie było takie ociężałe przez rozlewający się we mnie ocean prochów.

W drzwiach szpitalnego pokoju Joey odwraca się jeszcze, ale nie patrzy na mnie. Patrzy w podłogę.

– Kocham cię, Emmy, ale nie masz pojęcia, jak to jest być mną.  
I wychodzi.

### 3

JESTEM W SYPIALNI NA DOLE, w pokoju za kuchnią. Mama przygotowała go dla babci w nadziei, że z nami zamieszka, ale babcia jest uparta i chce pozostać we własnym domu aż do śmierci.

Ściany są jasnoszare. Prześcieradła i koce białe, wykrochmalone i nieskazitelne, wyobrażam sobie, jak pot ściekający z mojego czoła plami poszewki. A moja matka nie lubi nieporządku.

W nogach łóżka leży moja sunia, Fuzzy, przytula się do mojej zdrowej nogi, trąca ją nosem i cicho skomli. Głaszczę psa stopą. Ma szorstką sierść; nikt jej nie wyszczotkował. A westy wymagają szczotkowania.

Chora noga, w niebieskiej szynie, leży na białych poduszkach. Kolano pulsuje z bólu, iskry białego żaru sprawiają, że ciężko oddycham i się pocę.

Słyszę głosy dochodzące z kuchni, moja siostra Maddie klóci się z matką.

– Mamo, ona cierpi – mówi Maddie. – Pozwól mi dać jej pigułkę.

– Może dostać ibuprofen. W szpitalu faszzerowali ją tyloma lekami. Nie chcę, żeby i ona...

Głos mamy zamiera.

– Mamo – woła Maddie z naciskiem. – Emmy ma złamaną rzepkę w kolanie. I ona nie jest Joeyem.

– To prawda – odpowiada matka, jej głos staje się nagle tak twardy, że przeszywa mnie dreszcz. – I chcę, żeby tak zostało.



## 4

**M**ADDIE SYPIA OBOK MNIE w szarym pokoju, jej powieki robią się coraz cięższe, wciska guziki na pilocie, przerzucając się z jednego programu na drugi: *Kardashianki*, *My Lottery Dream Home*, *Przyjaciele*. Kiedy pilot wysuwa jej się w końcu z ręki, wyłączam telewizor i po prostu słucham. Fuzzy leży przytulona do mnie, miękka i zaspana.

Maddie wykradła dla mnie środek przeciwbólowy, kiedy matka położyła się do łóżka, podkarmiła mnie też krakersami i sokiem i już się nie pocę.

Wysłuchuję się w ciszę panującą w domu.

Pewne rzeczy nie się zmieniły, odkąd tu wróciłam. Tata nadal późno wraca z dyżurów w szpitalu, zagląda do naszego pokoju, żeby powiedzieć nam „cześć” i zapytać o moje kolano, potem zjada to, co Goldie zostawiła mu w lodówce, idzie do swojej nory, zasiada z drinkiem przed telewizorem i ogląda swoje ulubione programy. Zасыpia w fotelu z podnóżkiem, z okularami zsuwającymi się z nosa, podczas gdy mama śpi już na górze. Tak jest od lat, mama na górze, a tata na dole. Myślałam, że może to się zmieni po tym wszystkim, co się wydarzyło. Że po wypadku staną się sobie bliżsi, jakimś cudem.

Myślałam, że może zostaną ze mną w domu, przynajmniej przez pierwszych kilka dni, ale nie. Natychmiast wrócili do pracy. Może dlatego, że jest tu teraz Maddie i może się mną zająć. No i Goldie, jeśli to akurat dzień, który spędza z nami.

Czasami czuję się tak, jakby mnie w tym domu w ogóle nie było, bo nie jestem taka piękna i popularna jak Maddie ani nie sprawiaam tylu problemów co Joey. Jestem zwyczajnie sobą. Tą grzeczną dziewczynką.

Jedynie, co się teraz zmieniło, to odgłosy domu.

Jest cicho.

Z Joeyem nigdy nie było cicho, szczególnie w ostatnim roku, kiedy wszystko się popsulo. Wieczne krzyki i awantury z mamą z powodu jego ocen. I zachowania. Trzaskanie drzwiami. Kiedy tata próbował z nim porozmawiać, Joey naciągał kaptur bluzy na głowę. Robiłam, co mogłam, żeby poprawić sytuację. Budziłam go do szkoły, nawet jeśli wymagało to wylania mu zimnej wody na twarz. Odrabiałam za niego lekcje, żeby choć trochę poprawić jego oceny, żeby wyglądało, że Joey troszeczkę się stara, ale żeby jednocześnie nie wzbudzać podejrzeń. Po prostu chciałam, żeby skończył się ten hałas.

Maddie, odwracając się na drugi bok, uderza kolaniem w moje kolano. Wybuchają w nim iskierki żaru, ale małe – dzięki pigułce. Zaciśkam zęby, żeby nie syknąć z bólu. Może potrzebuję następnej pastylki? Ale nie chcę budzić siostry. Nie chcę więcej kłótni o środki przeciwbólowe. Nie chcę więcej hałasu.

Z powodu tej ciszy? Bo choć Kocham Joeya – to mój brat, jak mogłabym go nie kochać? – to ta cisza zapewnia taki spokój.

Teraz, kiedy mój niesforny, sprawiający problemy brat wyjechał, jest wreszcie spokojnie.

Mam wyrzuty sumienia, że tak bardzo Kocham ten stan.

**A**LEŻ TAM NA GÓRZE JEST BAŁAGAN – mówi Maddie. – Większość już chyba uprzątnęłam. – Stawia skrzynkę po mleku na podłodze w bawialni i pada na kanapę obok mnie. Włosy związała w koński ogon, a jej szyja lśni od potu. Schody na strych są strome.

Moja siostra, nawet spocona i nieumalowana, jest piękna. Nie powinienam być zazdrosna, ale jestem.

– Mama dosłownie przewróciła pokój Joeya do góry nogami. Nie wiem, czy ci o tym mówiłam. Może nie pamiętasz. W szpitalu byłaś półprzutomna. Parę dni po wypadku wróciliśmy do domu, żeby wziąć prysznic i się przebrać, i weszliśmy na górę. No, wiesz, żeby zobaczyć, co on ukrywał, i mama po prostu... jakby się wściekła.

Maddie pochyla się i grzebie w skrzynce po mleku.

– Nie sądzę, żeby wiele znalazła. Może fajkę do palenia marihuany i trochę trawki. Ale spójrz, co ja znalazłam.

Podaje mi plik papierów. Sztuka Joeya. Smoki ze złotymi skrzydłami ziejące pomarańczowym ogniem. Masywne stwory z ostrymi pazurami i czerwonymi ślepiami. Cały świat, który stworzył na strychu, gdzie rodzice pozwolili mu się przenieść, kiedy skończył trzynaście lat. Mógł godzinami siedzieć przy stole kreślarskim, całkowicie pochłonięty. Matka urządziła sobie w jego dawnej sypialni domową siłownię.

– Myślę, że on już teraz nie rysuje – mówię siostrze. – Może znów będzie. Kiedy wróci. Kiedy wyzdrowieje.

– Emmy, nie jestem pewna, czy można liczyć na „wyzdrowienie”. On brał heroinę. To twardy narkotyk. Nie można go tak po prostu... odstawić. Nie miałam pojęcia, że to brał. A ty? – Patrzy na mnie uważnie.

Układałam rysunki na kolanach w porządną stosik, unikam jej wzroku.

– Myślałam... sama nie wiem. Było ciężko. Próbowałam po prostu się nim opiekować. Myślałam, że to tylko... pijaństwo. Nie wiesz, jak to było w ubiegłym roku. Ty wyjechałaś.

Zaczynam płakać, lzy kapią na mój T-shirt. Od wielu dni nie brałam prysznic, mam na sobie te same ciuchy, w których wróciłam ze szpitala, pachy mnie bolą od kul, czuję się okropnie i wydaje się mi, że śmierdzę, siedząc obok tej mojej pięknej siostry uczesanej w perfekcyjnie swobodny koński ogon.

Mam poczucie winy z powodu Joeeya, czuję się częściowo odpowiedzialna za to, co się wydarzyło, bo tak długo go kryłam.

No i jeszcze ta Candy.

Tego już dla mnie za wiele, nagle wszystko się ze mnie wylewa.

– Och, Emmy. – Maddie otacza mnie ramionami. – Już dobrze. Nie płacz. To nie twoja wina. Przysięgam, że to nie twoja wina.

Ale w głębi duszy jestem przekonana, że moja.

Bo gdybym nie próbowała strzec tajemnic Joeeya, to może Candy MontClair by nie umarła.